

Paprosz Antysemita

25- 6787

ANTISEMITA.

OBRAZEK

osnuty na tle obecnych stosunków społecznych

przez

M. A. PĄPROCIA.

(Odbitka z VII Rocznika Samborskiego.)

(z zastrzeżeniem praw autorskich)

Cena 40 ct.

PRZEMYŚL.

Czcionkami S. F. Piątkiewicza.

1884.

UNIVERSITY OF TORONTO

LIBRARY OF THE UNIVERSITY OF TORONTO

1900

10

UNIVERSITY OF TORONTO
LIBRARY

ANTISEMITA.

OBRAZEK

osnuty na tle obecnych stosunków społecznych

przez

M. A. PAPROCIA.

(Odbitka z VII. Rocznika Samborskiego.)

(Z zastrzeżeniem praw autorskich.)

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA

00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat
Tel. 26-68-63

PRZEMYSŁ.

Czcionkami S. F. Piątkiewicza.

1884.

ANTISEMITA.

OBRAZEK

osnuje na nie obywateli stanowiących społeczeństwo



M A M

Wydawnictwo Literackie, Warszawa

Wydawnictwo Literackie, Warszawa

22.396

Wydawnictwo Literackie, Warszawa

1984

ANTI SEMITA

OBRAZEK

osnuty na tle obecnych stosunków społecznych,

napisał

A. M. Paproć.

I.

W stołecznem mieście, przy jednej z głównych ulic śródmieścia, stoi piękna kamienica o dwóch piętrach, tworząca wraz z oficynami symetryczny czworobok; wszystkie ubikacje wynajęte, gospodarz bowiem nie wypytywał wynajmujących o ilość dzieci, drobiu, kotów, psów i t. p., a nawet pomimo znacznie podwyższonych podatków, pozostał przy dawniejszych cenach mieszkań.

Pan Tadeusz Naglicki, właściciel tej kamienicy, i jak ludziska utrzymują, napakowanej akcjami i różnemi obligacjami kasy wertheimowskiej — jest sobie człowiekiem średniego wzrostu, więcej trochę jak dobrej tuszy; twarz okrągła i rumiana spoczywa na tłustem podgarlu; czoło wysokie, okolone ciemnym już szpakowatym, krótko strzyżonym włosom; oczy koloru piwnego, łagodne; nos o zakroju greckim i usta zwykle uśmiechnięte, które zdołał was starannie utrzymany, zakręcony z polska — wszystko to składało się na wyraz twarzy sympatyczny i dobroduszny,

człowieka prawego, patrzącego na nędzę sercem i ujmującego się za pokrzywdzonymi.

Pan Tadeusz Naglicki przy tem wszystkim jednakże był, jak to mówią, „gorąco kąpany.“ — Bywało nieraz, „nim nabił, wystrzelił“; lecz potem już się nie cofnął, i chociaż ze stratą, dotrzymał słowa.

— Pal go djable, panie tego — powtarzał naticzas, zabawiłem się znowu w Zabłockiego! ale honor jest w porządku!

Nie przychodziło trudno panu Tadeuszowi Naglickiemu mniejsze straty czasami ponosić, będąc w ważniejszych ostrożniejszym, miał bowiem z kamienicy dochodu do sześciu tysięcy, a drugie tyle blisko wpływało za sprzedane kupony od wartościowych papierów.

Stan majątkowy pana Tadeusza nie wzbudzał u sąsiadów podejrzenia. Wiadomem było powszechnie, iż z powodzeniem prowadził przez wiele lat handel koralami, o czem przy szklaneczce miodu chętnie rozprawiał z kolegami mieszczanami, a przyczem nigdy nie pomijał narzekania na Lejbę He zsteina, z przyczyny którego poniósł był dwa razy bardzo znaczne straty w handlu. Gdy o tych zdarzeniach opowiadał, twarz jego przybierała kolor szkarłatny, oczy rzuciły iskry, a pięścią kurczowo zaciśniętą o stół uderzał.

— Ho, ho! niedobre to plemię! panie tego — wykrzykiwał w złości, jabym to co do nogi! — i kończył gestem, podnosząc rękę koło szyi.

Od paru lat porzucił handel, zdobywszy fortunę, za pomocą której wystarczało mu na przyzwoite utrzymanie, wychowanie i uposażenie dorosłych już dzieci, i znaczną jeszcze nadwyżkę mógł odkładać do kasy.

Pan Tadeusz Naglicki był wdowcem, żona jego Magdalena, dając życie Jadwisi, sama go przy tem utraciła. Po śmierci żony otoczył malenką Jadwisę największą troskliwością, a gdy już rozwinęła się w dziewczę, została jego pieszczotką i oczkiem w głowie. Często, całemi chwilami wpatrywał się w jej piękną twarzyczkę, tuląc do piersi i obdarzając pieszczotami. Pod spojrzeniem swojej jedynaczki stawał się z gniewnego — łagodnym i swobodnym; a kiedy smutek rozsiadł się na jego czole, pocalunek Jadwisi

spędzał go bezpowrotnie. Wiadomą była powszechnie słabość ojcovska dla córki; to też niejednen potrzebujący pomocy a nie po raz pierwszy udający się po nią, zwracał się o protekcję do Jadwisi, której ona niezwykła odmawiać, i odnosił skutek pożądaný. Równą też troskliwością otaczał p. Naglicki i syna pierworodnego Tadeusza, dziś już praktykującego lekarza.

Domowe gospodarstwo prowadziła panna Filomena, siostra nieboszczki żony, a prowadziła je wzorowo. Wszędzie: w salonie, w mieszkaniu pana Naglickiego, w pokojach syna, córki, w kuchni, w przedpokojach, na korytarzu i na schodach — wszędzie było widać rękę czuwającą nad schludnością i porządkiem, wszystko szło tu podług zegarka. Pokoik zaś panny Filomeny, niedostępny dla oczu zwykłego śmiertelnika, była to istna cela zakonnicy. Skromne łóżeczko, kanapka. kilka krzeseł, stół, starego fasonu komoda i szafka na rzeczy, klęczka z kanarkiem w oknie, w kąciku zaś urządzony ołtarzyk z obrazem Matki Boskiej, tulącej do łona dzieciątko — pamiątka po matce, — przed którym co piątku i soboty paliła się lampka, było całym sprzętem w mieszkaniu. Znajomości zawierała bardzo mało i tylko czasem, w niedzielę, można było widzieć w gościnie u panny Filomeny parę przyjaciółek, rozprawiających przy szklaneczkach kawy o kazaniach i nabożeństwach. W ploteczkach nie miała upodobania. A jednak ludzkie języki podawały sobie w ucho sekretne domyślники o pobycie panny Filomeny w domu szwagra i z tego wyprowadzane kombinacje. Nieraz bowiem można było podsłuchać jak mówiono:

— I cóżby nareszcie w tem było tak złego? pan Naglicki liczy lat około 50, panna Filomena przeszła już trzydziestkę z dodatkiem, to właśnie dobrana para. On jeszcze krzepki i zuchowaty, ona pięknnością wprawdzie nie grzeszy, ale przyjemna i dobrocią ujmująca. Rzym przecież na takie związki zezwala....

Przyznać jednak trzeba, że w tych ploteczkach mieściło się może i odrobinę prawdy. Czasem bowiem jegomość — bo tak był tytułowany od panny Filomeny i od służby pan Tadeusz Naglicki, ojciec —

powróciwszy do domu z przechadzki, zagadnął wesoło do panny Filomeny:

— Wierzej mi jejmość, że to oczywista kara Boża z temi kobietami. Ot, panie tego — widziałem znowu tę istną czarodziejkę; brunetka, wzrost śliczny, figurka, gdyby utoczona, oczka, to prawdziwe dwa brylanty, a co za prześliczne, bujne warkoczki. Gdybym tak wiedział, panie — że mi nie da odkosza, to nie rękę, czybym się nie odważył, panie tego...

— Wstydziliś się jegomość — wpadała w słowo panna Filomena, człowiek w latach, i oglądać się jeszcze za kobietami. Masz dzieci już dorosłe... — I po takiejże reprimendzie, z westchnieniem opuszczała jegomościę.

Zwierzenia takie jegomości sprawiały widać pannie Filomenie przykre wrażenie, chodziła bowiem przez parę dni w zamyśleniu i z obwiązaną głową, dopóki jegomość, rozważywszy na zimno rzeczy, nie przeprosił jejmości.

II.

W drugiej ulicy od pana Naglickiego, znajdował się sklep żelazny, własność pana Arona Blumenzweiga. Pan Aron Blumenzweig — jestto typ zwykły polskiego żyda, nie należał on do sekty Chusytów, nie chodził w pończochach i pantoflach, lecz w butach, nosił długą opończę sukienną, przepasaną w stanie wełnianym paskiem, w powszedni dzień, jako nakrycie głowy służył mu cylinder, w dnie zaś świąteczne, duża czapka futrzana. Nie nosił pejsów w całym tego słowa znaczeniu, ale dłuższe pęki włosów poprzód uszy zaczesywane, z pod których wysuwała się już dobrze szpakowata broda, okalająca pociągłą twarz, dzieląc się na dwa bujne końce. Rysy twarzy regularne, brwi grube i zwiesiste, osłaniały w głębokich dołach oczy smętnie patrzące, które widok pieniędzy ożywiały i dodawały im ognia. Twarz w ogóle przedstawiała się poważną i zamyśloną.

Pan Aron był w mieście i na prowincji znany jako zdolny w swoim zawodzie kupiec, który nie

trudniąc się interesami pobocznymi, oddawał się z całym zajęciem swemu handlowi. Ostatnimi czasami jednak pan Aron zapadał często w zły humor, a przyczyną tego było, iż współwyznawcy widząc jego powodzenie, dwa podobne handle otworzyli i cenę towaru obniżali, wytwarzając mu tym sposobem konkurencję, którą pan Aron w kieszeni swojej dotkliwie odczuwał.

Żona jego Rebeka, słusznego wzrostu, o kształtach okrągłych, bruneta, wbrew przepisom rytualnym nie rozstała się z swemi czarnemi, połyskującemi spletaniami włosów, które jej kształtną głowę i twarz wyrazistą jeszcze i dziś — w latach późniejszych, zdobyły. Ubierała się według każdorazowej mody, i używała, szczególnie w domu, języka ojczystego, t. j. polskiego, na co mąż, chociaż z niechęcią, zniewolony majestatem małżonki i przywiązaniem do niej, zezwalał.

Małżeństwo to obdarzyła Opatrzność córką jedy-naczką, którą nazwano Heleną.

Matka była z Heleny dumną, widziała w niej obraz swej młodości, Helena bowiem, 19-letnie dziecko, była w całym słowa znaczeniu piękną. Postać jej wysmukła, o kształtach pełnych i zaokrąglonych, była zachwycającą; włosy krucze, czoło wyniosłe, sparte na dwóch regularnych łukach brwi, duże oczy czarne, płomienne, zdobne w długie rzęsy, nosek zgrabny, ściągły, twarz owalna, a płeć przypominająca dojrzałą brzoskwinie, rączki drobne, pulchne o różowych kończynach; było to wszystko własnością Heleny, która wiedząc o swojej urodzie, posiadając jednakże wykształcenie, była skromną i ugrzecznioną, a tem samem więcej jeszcze pociągającą.

W gronie młodzieży była Helena często przedmiotem rozmowy, które pod każdym względem wypadały na jej korzyść, lecz kończyły się zwykle ubolewaniem: „Czemuż ona żydówką!“

Tylko pan Tadeusz Naglicki syn nie ubolewał nad jej wyznaniem, i zwykle, jeżeli był rozmowom tym obecny, sprowadzał je do zakończenia; nie lubiał, aby o niej rozmawiano. On znał ją od dziecka, chodziła bowiem z jego siostrą Jadwisią do jednej klasy, często przybiegała do przyjaciółki, aby wspólnie zadania

wyrabiać, w czym im Tadeusz pomagał i odprowadzał potem Helenkę do domu.

Matka, troskliwa o wychowanie jedynaczki, oddała Helenę po ukończeniu szkoły ludowej do znanego zakładu naukowego pani S., gdzie zesłała się znowu z Jadwisią i przebyła z nią tam 4 lata, z kąd też wyszły jako szczerze przyjaciółki, z nabytymi wiadomościami, które w dalszem życiu były im niezbędnymi.

III.

Jadwisia Naglicka, nieco niższa od Helenki, blondyna złotowłosa, o oczkach niebieskich — istny portret swojej zgasłej matki — nie ustępowała w urodzie Helence, sercem zaś dorównywała jej w zupełności.

Były to dwa różnobarwne kwiateczki, zarówno świeże, hoże, skromne. To też kochały się szczerze pomimo różnicy wyznania, i były dla siebie otwartymi i najlepszymi przyjaciółkami.

Jadwisia bolała często nad uprzedzeniem ojca swego, które nie pozwalało jej wprowadzić otwarcie przyjaciółki do domu, lecz znając ojca słabość dla siebie, postanowiła wpłynąć nań i podbić serce ojcowskie przynajmniej dla wyjątków.

— Mogą być wszyscy współwyznawcy Helenki źli i niegodziwi — powtarzała sobie, ale przecież ona nie może być zarówno z nimi traktowaną.

Rozumując w ten sposób, pewnego dnia Jadwisia wstąpiła do sklepu galanteryjnego, aby kupić szerokie, wspaniałe ramy, potrzebne jej do osadzenia w nich portretu Kościuszki, przez siebie wykończonemu, który miała wręczyć ojcu w dzień imienin, 28. października. Tam spotkała niespodzianie Helenę.

— Jakże to dobrze, że cię tu zastaję Helusiu — mówiła, ściskając jej ręce.

— Cóż mi powiesz dobrego, Jadwisiu? — odrzekła Helena, oddając uścisk.

— Chcę ci się poradzić.

— W tej chwili będę ci do usług.

I zapłaciwszy, obie wyszły ze sklepu.

— Helusiu droga — zaczęła Jadwisia, w wielkim jestem ambarasie, ciocia Filomena chce, abym zrobiła dywan do kościoła. Ty masz wyborny gust, pomożesz mi więc wybrać desenie i ułożyć kolory; poświęć mi chwilę czasu, mam w moim pokoju wszystko przygotowane.

— Moja droga Jadwisiu! czyż mogłabym ci czego odmówić? Lecz pomyśl.. twój ojciec...

— Ależ ojczulko wyszedł właśnie z domu i nie powróci zaraz. A przecież na tyle jest grzecznym, a powtóre, ciebie teraz wcale nie zna. Nie róbcie mi przykrości — nalegała Jadwisia, tylko momencik mi darujesz.

Właśnie znajdowały się przed domem p. Naglickiego i Jadwisia pociągnęła Helenkę za sobą do swego mieszkania.

Helenie, postępującej za Jadwisią, serce biło z podwójną chyżością; myliłby się jednak, ktoby sądził, iż zmęczenie było tego przyczyną. Helena w tej chwili wspomniała o Tadeuszu, synie pana Naglickiego, który w tym domu mieszkał i łatwo z nią mógłby się teraz spotykać, a chociaż takie spotkania robiły na niej przyjemne wrażenie, to jednakże, jakby obawiając się ich w duszy, unikała ich.

Jadwisia wprowadziwszy Helenę do swojego pokoju, zdjęła jej szybko kapelusik z głowy, szczebiocząc uradowana:

— Teraz cię ptaszku mam w swojej klateczce, i nie wypuszczę, aż się tobą nacieszę.

Dziewczęta uściskały się i ucałowały serdecznie, a udzieliwszy sobie wzajem najświeższych wrażeń i wiadomostek, usiadły przy stoliku, na którym leżały nagromadzone próbki kanwy, włóczki, sznelki, pelki, deseni i rysunków; zajęły się z całą gorliwością układaniem tła dywanu, dobieraniem kolorów, a przede wszystkim wizerunkiem, jaki miał być umieszczony na dywanie, i tak dalece zainteresowały się tą pracą, iż nie spostrzegły, jak przed chwilą wszedł do pokoju Tadeusz — i nie chcąc im w ich czynnościach przeszkadzać, w milczeniu wpatrywał się w swój ideał — Helenę.

— Czy uwierzysz mi Helusiu — zagadnęła śmie-

jąc się Jadwisia, że nie polegając na sobie, zaprosiłam do jeneralnej narady nad tym moim kłopotem nawet Tadeusza?

— Powiem ci, że źle nie zrobiłaś Jadwisiu — powiedziała Helena, rumieniając się lekko — Tadeusza gust mi się podoba.

— Helusiu — wtrąciła figlarnie Jadwisia, całując przyjaciółkę, czy tylko gust?

— Jadwisiu — tłumaczyła się Helena drżącym głosem, nie rób mi przykrości, bo zaraz ucieknę od ciebie.

— Czemu jednakże ja sprzeciwię się całą siłą — wypowiedział z udaną powagą, kłaniając się Tadeusz, podbiegając do przerażonych dziewcząt i uściskawszy ręce Helenki, ucałował siostrę.

— Niegrzeczniku jeden — zawołała Jadwisia z uśmiechem, załamując z komiczną powagą ręce, czyż godziło się, tak nas przestraszyć?

— O, zasłużyłeś pan na wielką pokutę — dodała Helena, pogroziwszy pięknym paluszkiem Tadeuszowi.

— Braciszek chciał się sekretów dowiedzieć? — zapytała Jadwisia z uśmiechem, oddając braciszкови ukłon głęboki.

— Jak was kocham i szacuję, moje panie — tłumaczył się Tadeusz, że wszedłszy tu na wezwanie Jadwisi, nie miałem zamiaru podsłuchiwać tajemnic waszych, i tylko nie chciałem wam przeszkadzać w zajęciu, zatrzymałem się chwilę niepostrzeżony.

— Wierzymy! wierzymy! — zawołały dziewczęta wesoło, spoglądawszy na siebie.

Jadwisia podprowadziła brata do stoła i objaśniła mu ułożony plan dywanu, który po uwagach odnośnych Tadeusza, został przez obecnych ostatecznie przyjęty.

— Teraz, kiedy już wstępna robota ukończona — ozwała się Jadwisia, przybierając minę poważną, szanowni współpracownicy raczą się momencie zatrzymać i pozwolić mi, że w nagrodę za ich trudy przyrzadzę im przepysznej kawuni.

— Ależ Jadwińciu droga, nie potrzeba... zostań z nami — błagała Helena.

Jadwisia prośby nie usłuchała i wybiegła. Helena pozostała z Tadeuszem.

Chwilę panowała cisza. Helena usiadłszy przy stole mimowolnie wpatrzyła się i przerzucała włóczkę.

Tadeusz nie pojmował siebie; już dawno pragnął on chwili, aby być sam na sam z Heleną, wypowiedzieć jej swoje zamiary... wynurzyć uczucia... ulżyć głowie i sercu... Teraz, gdy los sprzyjający postawił go obok niej — zabrakło mu odwagi. Rumieniec wystąpił na twarz jego, wstydził się swojej nieśmiałości. Lewą rękę położył na sercu, jakby chcąc powstrzymać gwałtowne bicie jego — postąpił do dziewczyny i ujął jej rękę. Helena zerwała się z fotelu, lecz rękę pozostawiła w dłoniach młodzieńca, który mówił do niej drżącym głosem :

— Heleno, przyjaciółko od lat dziecinnych — ty mię rozumiesz i odgadujesz....

Helena spojrzała na młodzieńca rzewnie, rumieniec oblał jej lica i główkę spuściła.

— Powiedz mi droga — mówił w zapale Tadeusz — czy mogę nazwać moją tę rączkę i przyciągnął lekko rękę Heleny do ust, wyciskając na niej gorący pocałunek.

Dziewczę zadrżało, oczy jej mieniły się rozmazane, a pochyliwszy główkę na piersi młodzieńca, wyszeptwała :

— Na zawsze twoja. . . .

Byli szczęśliwi w tej chwili — bo zapominając o świecie, umysły i serca ich zajęte były tylko sobą, tylko wzajemnem uczuciem miłości. Lecz chwile takie, to promienie słońca, które wśród chmur pędzonych wichrem, znajdują wolną szczelinę, by się do ziemi uśmiechnąć.

Ocknęła się Helena, rumieniec ustąpił z twarzy, a jego miejsce zajęła bladość śmiertelna, nogi się pod nią zachwiały, usiadła i główkę oparła na dłoni.

— Heleno droga, co tobie — zawołał Tadeusz przerażony, całując jej rękę.

W tem wbiegła do pokoju Jadwisia.

— W tej chwili fetę przyniosę — zapowiedziała wesóło, lecz ujrawszy Helenę pobladała i smutną,

przybiegła do niej i ściskając ją i całując wypytywała o przyczynę.

— Nic mi, droga Jadwisiu, nic mi — zapewniała Helena, przestraszyłam się tylko. . . .

— Czego? — zapytali równocześnie Jadwisia i Tadeusz.

— Rzeczywistości — odpowiedziała zwróciwszy się do Tadeusza.

— Nie rozumiem cię — odparła Jadwisia.

— Odwagi i wytrwałości, droga Heleno — odrzekł rozpromieniony Tadeusz, a niema na świecie przeszkód, którychbyśmy nie zwyciężyli.

— A! tak mi gadajcie! — podchwyciła Jadwisia, teraz was już rozumiem.

— A ty Jadwisiu, musisz być naszą protektorką — ciągnął dalej Tadeusz ująwszy siostrę za rękę.

— Dla mego brata i siostry uczynię wszystko — odpowiedziała poważnie Jadwisia.

— Więc mnie przyjmujesz za siostrę, droga Jadwisiu?

— Już dawno cię za nią uważałam, wiedząc o Tadzia zamiarze, i czekałam tylko twego zezwolenia. I obie dziewczęta ujęły się i serdecznie uściślały.

— A teraz, moi państwo — mówiła dalej Jadwisia, każde ze swojemi siłami i ze swoich stanowisk, śmiało przystąpmy do walki z przeciwnościami.

— Brawo! — zawołał Tadeusz.

Drzwi się otworzyły, a w nich ukazała się Zosia z ogromną tacą w rękach, na której mieściła się mościężna maszynka z kawą, porcelanowy imbryczek ze śmietanką, srebrna cukiernica, 3 pozłacane filiżanki i stos ułożonych grzanek.

IV.

Dnia 28. października w domu jegomości Naglickiego panował ruch niezwykły. Już od rana znoszono różnego rodzaju mięswo, który wynajęty kucharz przyrządzał i przyprawiał na rozmaite sposoby, praktykanci z cukierni p. K. znosili torty i ciasta, a

pomimo iż jegomość miał nie źle zaopatrzoną piwniczkę, słudzy z handlu p. M. dostawali koszami szlachetniejsze rodzaje wina, w których się mieścił dobry humor zaproszonych na wieczór gości.—

Był to dzień imienin ojca i syna, które jegomość zwykle hucznie i wystawnie obchodził.

Jegomość już od rana był czynnym; odbierał powinszowania, rozsyłał zaproszenia na biesiadę wieczorną; z pomocą Jadwisi kazał ustawiać i przedstawiać na przyjęcie gości sprzęty w pokojach, układał plan nakrycia i porządku, w jakim się uczta miała odbywać, a zważywszy, że każda prawie czynność musiała się odbyć po kilka razy, przyznać trzeba, iż i jegomość i słudzy mieli nie mało w tym dniu roboty. Jadwisia bowiem nie chcąc ojca teroryzować, zostawiła mu do woli w tym dniu komendę w sprawach wewnętrznych domu, i wtedy tylko zabierała głos decydujący, jeżeli ojciec po kilku próbach przesuwania i wykręcania sprzętów w różne strony, nie był jeszcze zdecydowany.

Panna Filomena dyrygowała kuchnią i nikomu nie pozwoliła się mięszać do swojego oddziału, aby potem zasłużonemi pochwałami nie potrzebowała się dzielić.

Czas przy gorliwej pracy ulatuje szybko — to też i w domu jegomości, każdy ze swej strony narzekał, że nieubłagana wskazówka na zegarze pokazywała już siódmą godzinę wieczorem. O ósmej mają się zejść goście — prawie wyłącznie mężczyźni, a to raz dla tego, iż jegomość wdowcem, a powtóre, iż biesiady odbywają się u jegomości Naglickiego więcej o zakroju politycznym.

Oczekiwana godzina ósma nadeszła. Dwa pokoje przez jegomościę zajmowane, urządzone zostały do przyjmowania gości, których w pierwszym pokoju przyjmowali ojciec wraz z synem — w drugim, obszernym pokoju były ustawione na stołach butelki z wykwintnemi etykietami, na których były napisy: „koniak” — „starka” — „pomarańczowa” — „Gazeta Narodowa” — „Dziennik Polski” — „Szczutek” — „Antisemitka” z dodatkiem „wytrawna;” — obok, na

półmiskach stopy nałożonych zimnych przekąsek mięsnych i pieczywa różnego rodzaju. —

Ojciec i syn nie dawali próżnować nikomu i wszelakie wymówki tu nie skutkowały. Jegomość bowiem powtarzał:

— Kto nie je i nie pije, panie tego, ten mnie nie kocha.

Jegomość znany był z tego, że jeżeli gościł kogo, to już z całą serdecznością.

Wnet też ugrupowały się kółka i kółeczka, i kosztując to z tej, to z owej flaszki, rozmawiano na temat ich etykiet.

Niektórzy nowicjusze sądzili, że na tym już traktamencie się zakończy — gdy w tem otwierają się niespodzianie podwoje, prowadzące do salonu, który był zamieniony na dzisiaj w salę biesiadną, gdzie gości oczekiwali panna Filomena z Jadwisią.

Pierwszy pospieszył przywitać się z nimi pan notariusz Nowatorski, kawaler, który cierpiał coś do Jadwisi, i jako przyjaciel domu, był jakby u siebie, za nim weszli dwaj dziennikarze z przeciwnych obozów, pp. Dowodowicz i Rezonowicz, dobrzy przyjaciele gospodarza; za tymi wtoczył się otyły pan sędzia, Burczymucha, a za nim reszta gości podążyła zapobiegając salę. —

Stoły były ustawione w podkowę i przystrojone buketami, pomiędzy którymi piętrzyły się, niby piramidy egipskie, butelki, przejrzytem winem iskrzące.

Do stołu zasiadło około 30 osób, a pana Burczymuchę, jako najstarszego wiekiem, usadzono na pierwszym miejscu; źle mówię, nie tylko dlatego, że był wiekiem najstarszy, ale, że cieszył się ogólną sympatją — mówiono o nim, że gdy mu przydzielono przeprowadzenie śledztwa z jakim politycznym przestępcą, to jakoś tak zawsze pokierował sprawą, że ten albo z małym szwankiem, a najczęściej wolno wychodził. Nie posiadał też pan Burczymucha ani orderów, ani nie dosłużył się tytułów, ale za to zdobył sobie uznania i szacunek u ucziwego ogółu.

Ojciec i syn zajęli szare końce.

Po pierwszym zaraz daniu rozpoczął toasty p. Feliksiński, cieszący się przydomkiem „mowiec ludowy“ na cześć zacnego gospodarza; pan Nowatorski

wypił na zdrowie Tadeusza, syna gospodarza. Po długiemi daniu wychylono na zdrowie dostojnych gospodyń, pp. Burczymuchy, Dowodowicza, Rezonowicza i Feliksińskiego; po trzeciej potrawie kontynuowano zdrowie dalsze bliżej znajomych, a nareszcie wzięto się do idei, które urzędywistnięby należało. Chłoszczono stronnictwa, opinie publiczną; rozbiegano sprawy ekonomiczne, aż wreszcie dysputa stoczyła się na sprawę żydowską.

— Popatrzcie panowie — ozwał się pan Bączkowski, tokarz z zawodu, pozujący na astronoma — że te komety, jakkolwiek dzisiaj do nich nie przywiązują już takiego proroctwa, jak to dawniej bywało, sprowadziły przecież — chociaż nie wojnę w całym tego słowa znaczeniu — ale panie dobrodzieju — zawsze katastrofę żydowską.

Siedzący naprzeciw niego profesorowie S. i Z., słuchając niby z całą uwagą spostrzeżeń p. Bączkowskiego, trącili się łokciami i uśmiechając się, potakiwali mu kiwnięciem głowy. Jegomość Naglicki zaś przyłożył aż rękę do ucha, by lepiej słyszeć pana Bączkowskiego.

— I popatrzcie panowie, bo to ja panom wyjaśnię. W Berlinie, oto, panie dobrodzieju — wytworzyła się mgła, ciężarna pierwiastkami antisemickimi, która uniósłszy się i zetknąwszy z gazami grabieży i zniszczenia rosyjskiego talałajstwa, zrodziła tam burzę, a burzę nie lada — wiemy o niej wszyscy — z chmur zaś groźnych oderwany kawałek, przerzuciły nieprzyjazne wichry aż do Preszburga. W dodatku, panie dobrodzieju, muszę tu jeszcze panom objaśnić, iż horyzont jeszcze nie zupełnie jasny, i z małych chmur może spaść deszcz jeszcze wielki — i zakończając swoje przemówienie p. Bączkowski, przyłożył palec wskazujący do czoła.

— Bravo! panie Bączkowski! bravo! — śmiejąc się pochwalali profesorowie.

— Proszę o głos! panie tego — proszę o głos! — zawołał, zrywając się z miejsca zaperzony jegomość Naglicki.

Powstała cisza, wszystkich oczy zwróciły się na gospodarza, a świecąc ogniem sympatji, dodawały mu

otuchy; to też jegomość odkrząknawszy mówił w te słowa:

— Szanowni i kochani moi panowie! Poruszono tu sprawę żywotną, sprawę żydowską, a jest ona dzisiaj na porządku dziennym; wartaloby zastanowić się nad nią, — i, panie, — żeby tamę położyć, żeby usunąć, żeby wykorzenieć złe, które grozi, panie, zupełną ruiną naszemu gospodarstwu, naszemu przemysłowi i rękodzielnictwu, trzeba nam pomyśleć nad środkami, prowadzącymi do tego celu. Ja, panie, powiadam tylko tyle, że to plemię niedobre, i jabym ich wszystkich panie — i podniósł rękę koło szyi, kończąc jak zwykle tym ruchem przemówienie swoje w tej materji.

Po przemówieniu gospodarza powstały gwar, wesolość, brawa; wszystkich obecnych twarze, czy to podzielających wypowiedziane przekonania jegomości, lub im przeciwnych, były uśmiechnięte, wesole; na jednej tylko twarzy malowało się niezadowolenie i niechęć, Tadeusz wolałby był słów ojca nie słyszeć. Pozostawić je bez odpowiedzi, znaczyłoby godzić się na nie, czego pod żadnym warunkiem byłby nie uczynił, występować zaś przeciw ojcu, przychodziło mu z przykrością. Ambicja jednak, a więcej jeszcze miłość Heleny i poczucie sprawiedliwości przemożło, zadecydował więc zabrać głos w tej sprawie, — w tem jednak przewodniczący biesiadzie oświadcza:

— Pan Feliksiński ma głos.

— Szanowni panowie obywatele! — przemówił donośnym głosem i właściwym sobie akcentem p. Feliksiński — żydzi dają się i nam tutaj djabło we znaki — wszystko już zagarnęli w swoje ręce: handel, rękodzielnictwo, przemysł nasz, konkurencji z nimi wytrzymać nie może; lichwę pomimo ustawy prowadzą w najlepsze! Ale kto temu winien?! Oto my, moi panowie! my chrześcijanie! którzy sami w tem wszystkim ich popieramy! Wszyscy, moi panowie, wiemy, że u żyda gorszy towar i robota, a mimo to idziemy do niego, bo u niego o parę centów taniej.

Żydzi, moi panowie, uważając się między nami za obcych, znają nas lepiej, jak my sami siebie znamy i atakując nasze słabe strony, zwyciężają nas; myśmy

też powinni, moi panowie, także wszystko co od nich pochodzi, nieprzyjmować; i tak ich towary, jak ich roboty, ich sympatje i przyjaźnie odtrącać i odrzucać od siebie, bo oni to robią wszystko z wyrachowaniem, aby nas do szczytu wyzyskać i zgubić! Precz więc z żydami! —

Podniósł się pan Rezonowicz z miejsca i prawie wpadając w słowo, odpowiedział p. Feliksińskiemu:

— Nam Polakom nie są do twarzy takie hasła. Polacy, nasi przodkowie, przyjęli żydów gościnnie, a my odrodnymi być nie możemy, wyrzucając ich z tej gościny. Jeżeli są nam niewygodnymi, to da się to naprawić, a gdyby i na drodze prawodawczej. A przecież, dó licha, nie pozjadamy się wzajemnie! Wyróżniałości i cierpliwości, panowie, a żydzi w własnym interesie stać się muszą dobrymi współobywatelami i patriotami. Przekonania te — kończył pan Rezonowicz, zwróciwszy się do pana Dowodowicza — podziela zapewne i starszy w zawodzie kolega.

Pan Dowodowicz, pokręciwszy parę razy brodę, wstał powoli z miejsca i zabrał głos:

— Kwestja żydowska, panowie, nie od dzisiaj dopiero jest ważną. Zastanawiano się nad nią już wtedy, kiedy nadawano żydom równouprawnienie. Pisaliśmy wtedy popierając ich, ponieważ wychodziliśmy z zasady, że wolność w państwie konstytucyjnie rządzone, powinna być udziałem wszystkich obywateli. Byliśmy przekonani, że wspaniałomyślnością przyciągniemy ich do siebie; jednakże wiadomą jest dziś rzeczą, że żydzi trzymają zawsze ze siłą, upatrując i wyciągając z tego stanowiska korzyści dla siebie, jakkolwiek i w przeciwnych obozach wysuwają swoich reprezentantów, niechcąc żadnej pozycji pozostawiać, nie obsadzwszy jej swoimi wedetami. —

Ruch antyżydowski, w Europie ostatniemi czasy powstały, ożywił tę kwestję; to też i u nas podnoszono głosy w prasie i w ciałach prawodawczych. Siła jednakże ze swej strony, z niechęcią przykłada rękę do tej sprawy, a to z powodów łatwo zrozumiałych. Łatwiej bowiem jest, staczać walkę z pojedynczemi i żyjącemi w rozterce ze sobą grupami, aniżeli ze zbitą i jednolitą masą. Złe więc, które nasze społec-

czeństwo toczy, nie wzrosło ani z przyczyny żydów, ani też z przyczyny chrześcijan, ale jest plodem zabiegów interesowanych trzecich, że wspomnę tu tylko o dążnościach germanizacyjnych..

Należy nam więc na przyszłość obrać taktykę, opartą na wzajemnych interesach żywotnych, dążącą do jednoczenia rozprószonych dzisiaj sił, i wytworzenia w społeczeństwie naszym zastępu jednolitego, na podstawie ustaw sprawiedliwych, zatrzymując hasło: „równi z równymi — wolni z wolnymi!”—

Oklaski ze wszystkich stron towarzyszyły zakończeniu przemowy p. Dowodowicza. Napelniono wypróznione kielichy i gwar się znowu podnosił, gdy p. Burczymucha zazdwoił pierścieniem w kieliszek i uciszył wrzawę, udzielając głosu Tadeuszowi.

— Pozwólcie panowie — mówił Tadeusz, że kilka tylko słów jeszcze dorzucę do zdań szanownych poprzedników moich, którzy sprawę żydowską traktowali więcej ze stanowiska politycznego.

Zupełnie słusznie podniósł tu p. Feliksiński, iż handel, rzemieślnictwo i przemysł nasz z konkurencją przez żydów kolportowaną w zawody iść nie może, i to właśnie jest najdotkliwszem dla naszego społeczeństwa. Bądźmy jednakże sprawiedliwymi i przyjrzyjmy się w rzeczy bliżej.

Prawdą jest, że żydzi u nas przeważnie zajmują się handlem i przemysłem, rękodzielnictwu zaś mało się oddają; handel zbożem, surowcami materiałami, końmi i bydłem, przeważnie w ich rękach spoczywa; dostawy dla rządu i jego instytucyj, jak również dla większych konsumentów oni obejmują; przedsiębiorstwa znaczniejsze oni także w swych rękach dzierżą, a sprowadzając w masach fabryczne towary zagraniczne, sprzedają je po niższych cenach, aniżeli może takowe podać tutejszy pojedynczy rzemieślnik; to wszystko prawda. Ale zapytuję panów: czy tu w tem wszystkim główną rolę odgrywa w y z n a n i e ? Tego przecież nikt twierdzić nie będzie!— Tu jest więc podstawą i głównym motorem ruchu całego kapitał, oni umią z kapitałem praktycznie postępować, dowody czego oczom naszym prawie codziennie się przedstawiają. Wiadomą przecież powszechnie prawdą jest, iż

wielki kapitał pochłania mały; dla czegoż w obec tego faktu stoimy z założonymi rękami, czekając chyba na jakieś zamilowanie boskie, lub cuda! Dla czegoż nie bierzemy inicjatywy i nie wspieramy myśli zawiązywania spółek rękodzielniczych i innych przemysłowych i handlowych? a istniejące zamiast popierać z całą energią, opuszczamy je i niedowierzaniem popychamy do upadku? dla czegoż kapitały nasze lokujemy tylko w gwarantowanych niby akcjach i przeznaczonych listach zastawnych, zamiast bodaj część z nich przeznaczyć na fruktyfikacyjne przedsiębiorstwa?!

Otóż, panowie, przyczyny biedy naszej ogólnej nie szukajmy w pewnym wyznaniu, i nie zwalajmy na nie wyłącznej winy, ale szukajmy jej, i znajdziemy w naszej własnej opieszałości, a także i w wadliwym ustroju społecznym, do którego naprawy z całym zaparciem i bezwzględnością zabrać się powinniśmy! —

I tu posypały się rzęsiste oklaski, a p. Bączkowski przekonany, wykrzyknął:

— Przypatrzcie się! Jak Boga kocham, prawdę mówi! panie dobrodzieju!

— Tadziu! niech cię uściskam! — wołał pan Nowatorski, biegnąc do Tadeusza, — w zupełności aprobuję twoje przekonania!

— Próżnować się nie godzi przy pracy około dobra ogólnego — ozwał się statecznie p. Burczymucha. Jednakże osiągnięcie tego dobra w zupełności, dużo jeszcze będzie kosztowało wysileni. Pocieszać się atoli należy, że ludzkość urządzi się ostatecznie tak, jak to uzna za najlepsze, bo postęp nigdy się nie cofa...

Napełniono kielichy, rozmowa w towarzystwie się ożywiła i z kolei zesłała na teatr, którego sprawa była także na porządku dziennym.

Biesiada przeciągnęła się późno w wieczór, jeszcze bowiem o 12 godzinie w nocy biło światło z okien i dolatywały głośne rozmowy z salonu jegości.

V.

Po imieninach upłynęło już parę tygodni, kiedy Tadeusz szerokimi krokami mierzył zajmowane przez siebie pokoje. Zatrzymywał się czasami, marszczył szerokie swe czoło, zesuując brwi bujne, twarz jego o szlachetnych, męzkich rysach, skrzywiała się kurczowo; to muskał i zakręcał swój wąsik jasny — to ręce wsuwał w kieszenie, i znowu krocząc, stapał silniej, a oczy jego siwe, nie obejmując otaczających go przedmiotów, wyrażały wewnętrzną walkę, która staczała się z sobą.

Uczyniwszy krok stanowczy, oświadczając się Helenie i przekonany o jej wzajemności, obmyślał środki i drogi, któremi mógłby w najkrótszym czasie zamiar swój doprowadzić do skutku. Był już wprawdzie pełnoletnim, jednakże zamierzając uczynić tak ważny krok w życiu, chciał go uczynić w porozumieniu z wolą ojca. Był przekonany, że trafi na opór, znając uprzedzenie ojca do żydów.

Plan walki był już prawie ułożony, a za dowódcę wybrano Jadwisę, u której właśnie znajdowała się także Helena, oczekując wyniku ataku, który Tadeusz zamierza przypuścić do ojca; do szturm przewidywanego miała nadsięgnąć później Jadwisia ze swojemi siłami.

Stał Tadeusz w końcu przed lustrem, poprawił fryzurę, nałożył kapelusz i wyszedł. —

VI.

Jegomość zwykle po obiedzie w swoim pokoju „przewracał w gazetach,” t. j. czytywał co nieco, szczególnie zaś lubował się w ustępach, rozbierających sprawę żydowską.

Odczytywał sobie właśnie na głos rezolucję, uchwaloną przez sejm do rządu o zbadanie talmudu, gdy we drzwiach ukazał się Tadeusz.

— Chodźno! chodź prędko Tadeuszu, coś bardzo ciekawego ci pokażę! — a wpychając mu w ręce gazetę i wskazując palcem ustęp dotyczący zawołał:

— Przecież raz zbadamy to czarne źródło, z którego wszystko złe pochodzi!

Tadeusz przeczytawszy wskazany ustęp, położył gazetę na stole i powitał ojca.

— A co?! panie tego — A co?! — Dobrze się biorą do rzeczy?

— Czy ojciec sądzisz, że mając talmud żydowski przetłumaczony, ludzkość już będzie szczęśliwą?

— Jakto?! To ty chyba nie wiesz, że właśnie talmud poucza żydów szachrajstwa, popycha do różnych przestępstw i zbrodni nawet?!

— Wyznania — odparł Tadeusz, jakiegokolwiekby one były, winne być i są poniekąd tolerowane; z mojej strony uważam wszelkie rytuały religijne za rzecz dotyczącą strony tylko duchowej; oceniać je, potępiać, lub podnosić, — tę zabawkę pozostawiam tym, którzy w tej robocie znajdują zamięłowanie. Muszę jednak kochanemu ojcu przypomnieć, że czytaliśmy w dziennikach także zarzut, czyniony i pewnemu rzymskokatolickiemu zakonowi, iż przyjął zasadę: „Cel uświęca środki.“ Co zaś do przewinień, przestępstw i zbrodni, to przecież każdy obywatel kraju, bez różnicy wyznania, podlega równym przepisom prasowym i kodeksom karnym...

— Ba, ba, ba... gadaj sobie co chcesz, ja zawsze przy swoim zostanę. Ty Tadeuszu, nie znasz ich jeszcze, bo nie miałeś z nimi do czynienia. O! to plemię niedobre, panie tego. Podajno mi jeszcze gazetę, ustępu tego muszę się na pamięć nauczyć.

— Pozwolisz, kochany ojczy — rzekł Tadeusz, podając gazetę, że ci na chwilę przeszkodzę; chcę bowiem pomówić o ważnej rzeczy, która stanowić będzie o mojej przyszłości.

— Słucham cię, słucham Tadeuszu — odrzekł ojciec, przysuwając fotel bliżej do niego.

— Mam od dłuższego czasu pewną znajomość...

— Aha! domyślam się, domyślam, filucie — wpadł w słowo ojciec, ośmielając syna do zwierzeń —

zapewne z jakąś panią młodą, przystojną, a może w dodatku i bogatą?

— Rzeczywiście z młodą i piękną, ale zdaje mi się, że nie bogatą — odpowiedział Tadeusz rumieniąc się.

— To zapewne rodem imponuje?

— Przeciwnie, kochany ojcze, pochedzi ona z rodu, który wcale nie imponuje.

— Chciej się jaśniej wyrazić, panie tego — mówił jegomość głaszcząc się po czuprynie, bo jeśli jest młodą, przystojną a biedną, to juścić to ostatnie może zastąpić rodem, czyli chcę powiedzieć, wykształceniem — bo, przecież chłopka nie na żonę dla ciebie?...

— Powiadam otwarcie ojcze, że posiada nie tylko wykształcenie, ale wszystkie cnoty, jakie serce dziewicze zdobić mogą.

— No to, panie tego.... jeżeli ci jest wzajemną, nie stoi nic na przeszkodzie, i panie raz, dwa, róbmy, nim adwent zajdzie, weselisko. Ja, panie, niemam nic przeciw temu, jeżeli tylko ty Tadeuszu, upatrujesz w tem szczęście swoje — całując syna w czoło, mówił rozczulony jegomość.

— Tak ojcze drogi — mówił w zapale Tadeusz, tylko z nią będę szczęśliwy, i gdy ją poznasz, drogi ojcze, nie będziesz do niej żywił żadnych uprzedzeń...

— O jakich uprzedzeniach mówisz Tadeuszu? — zapytał zdziwiony jegomość.

— Co do wyznania jej....

— Alboż jest innego jak my wyznania? — zapytał z niepokojem jegomość, dodając po chwili: — ormianka, rusinka, czy nareszcie protestantka?...

Tadeusz czując, iż wypowiedzeniem prawdy sprawi ojcu przykrość i wprawi go w zły humor, zawahał się na chwilę; wspomnienie Heleny jednakże sprowadziło słowa w usta, które wypowiedział z uroczą powagą:

— Ojcze drogi, dziewczę, które ukochałem całą duszą i które równem uczuciem dla mnie jest przęjęte, jest... izraelitką...

— Co? co? ży — żydówką?! — wyjęknął je-

gomość, ująwszy się obiema rękami za głowę. Żydówka! — jęknął po raz wtóry, rzucając się na fotel.

— Ojczy mój, wszak pragniesz szczęścia mojego — ująwszy ojca za rękę tłumaczył Tadeusz, czyż taka drobna rzecz jak uprzedzenie, ma mi wyrwać je i zniszczyć?

— Nienawidzę to plemię, nienawidzę! — wołał w rozpacz jegomość. Synową moją żydówka! Nie! nigdy! to być nie może! A cóżby świat na to powiedział?!

— Czyż świat ma decydować o mojem szczęściu? — wypowiedział z goryczą Tadeusz.

— Zostaw mię samego! zostaw mię bodaj na chwilę! — wołał jegomość, zakrywając sobie twarz rękami.

— Odchodząc ojczy, winienem jeszcze i to wypowiedzieć, że jestem związany słowem — mówił Tadeusz żegnając ojca, a gdybym miał utracić honor, to wolałbym wprzód postradać życie...

Tadeusz się oddalił, a jegomość opuściwszy ręce na poręczu fotelu, mimowolnie kiwał głową, patrząc przed siebie wzrokiem osłupiałym, nie mogąc wstrząśniętych myśli pozbiierać.

Jadwisia niecierpliwie wyczekując skutku wyprawy Tadeusza, wybiegła na ganek. Tu dolatywały ją rozpaczliwe wykrzykniki ojca, domyślała się więc sukcesu niepomysłnego, co też wychodzący w rozdrażnieniu od ojca Tadeusz potwierdził. Postanowiła więc walki ze swej strony nie zwlekać i przypuścić szturm do ojcowskiego serca, które posiadała prawie zupełnie. Upewniwszy Tadeusza, iż go o zwycięztwie uwiadomi, pospieszyła na plac boju.

Przed drzwiami, prowadzącymi do mieszkania jegomości, zatrzymała się, a zrobiwszy krzyż na pierśsiach, śmiało otworzyła je i przybiegła do ojca, który jeszcze siedząc w fotelu nie zmienił pozycji.

— Co tobie, drogi ojezulku — mówiła pieśczołliwie, całując go po rękach i w głowę, — wyglądasz zmartwiony, czy masz jaką zgryzotę?

Na głos Jadwisi jegomość od razu przyszedł do siebie.

— Tak... to jest, właściwie, nie... Et, panie —

to przeminie — wykręcał się jegomość od prawdy, nie chcąc zasmucać swego najukochańszego dziecięcia.

— Ale jesteś smutny ojczulku — nalegała z troskliwością Jadwisia.

— Nie.... nie..., troszkę, ale nie zupełnie, to się da naprawić, — całując w czoło Jadwisię i przymuszając się do uśmiechu, odpowiadał jegomość.

— Ja nie lubię widzieć ciebie, drogi ojczulku, smutnym. Siedzisz sam tutaj, oddajesz się myślom przykrym, chodź raczej do salonu, zaprezentuję ci moją przyjaciółkę, zagramy, zaśpiewamy przy fortepianie, i pozbędziesz się myśli niedobrych — szczębiała Jadwisia.

— Czy jest tu może Ludwisia, czy Malcia? — zapytał jegomość, a wzrok jego zaczął się ożywiać.

— Ach nie, ojczulku, tej panienki jeszcze nie znasz; jest to moja najlepsza przyjaciółka z konwiktu — Helusia.

— I dotąd nie mówiłaś mi o niej?

— Ponieważ obawiałam się — odpowiedziała smutno, zwiesiwszy główkę na piersi.

— Moje dziecię kochane, czegoż to obawiałaś się? zapytał, czule całując Jadwisię w główkę, wszakże nigdy nie wzbraniałem ci przyjmować swoich przyjaciółek.

— Obawiałam się, że się będziesz gniewać, ojczulku, jeżeli Helenę tu wprowadzę.

— A to z powodu?

— Bo, bo... — jąkała się Jadwisia zakłopotana.

— Bo, bo... — powtórzył jegomość żartobliwie.

— Bo... Helusia jest... jest... izraelitką — wyszeptwała Jadwisia.

Jegomość odskoczył na kilka kroków, pochwycił oburącz za głowę i ryczał straszliwym głosem:

— Bożnica z domu mojego! Bożnica! A to kara Boża! Nieszczęście! Co się tu dzieje! co się tu dzieje!

Jadwisia nigdy jeszcze nie widziała ojca w takim uniesieniu; przerażona, drżała na całym ciele; nogi się pod nią zachwiały, i padła na kolana, a zło-

żywszy ręce jak do modlitwy, blada, przestraszona, błagała ojca o przebaczenie.

Jegomość, widząc swoją pieszczotkę klęczącą przed sobą i zmieszaną, czuł jak mu się serce ścisnęło, a z rozjuszonego tygrysa zmieniwszy się w potulne jagnię, podbiegł do Jadwisi, ujął za ręce, podniósł ją, i tuląc jej główkę do swej piersi tłumaczył się:

— Nie, drogie dziecię moje, ja się nie gniewam na ciebie. Ty nic nie winna — to ja, ja sam jestem winien; ależ bo nie przypuszczałem nawet, że w konwiktach mogą się znajdować żydówki. Uspokój się Jadwiniu, uspokój się, ja także o tem zapomnę.

— Tak mię przestraszyłeś ojczulko — mówiła tuląc się do ojca i całując go w rękę Jadwisia, że jeszcze nie mogę przyjść do siebie.

— Chodźmy więc, chodźmy do salonu, to jakiś, panie, dzień feralny; zaprosz przyjaciółkę; będziemy grać, śpiewać, i zapomnimy o przykrościach — i ująwszy córkę za rękę, poprowadził do salonu.

Jadwisia, pomimo iż ją to dużo trwogi i lez kosztowało, uradowana w duszy z połowy zwycięstwa pobiegła do przeciwległych drzwi, które do jej pokoju prowadziły, i za chwilę wprowadziła ze sobą Helenę, przedstawiając ją ojcu:

— Helena Blumenzweig, córka kupca tutejszego, jak ci już ojczulku mówiłam, najlepsza przyjaciółka z konwiktu, zawsześmy się kochały i Kochamy szczerze.

— Ty wiesz najlepiej — odpowiedziała Helena, oddawszy zgrabny i poważny ukłon jegomości.

— Bardzo się cieszę — rzeczywiście się cieszę, — oddając ukłon, rzekł poczerwieniały aż po uszy jegomość, że moja Jadwisia znalazła w pani tak ładną — panie tego, chciałem powiedzieć, szczerą przyjaciółkę.

— Byłyśmy zawsze dla siebie siostrami — odrzekła Helena, spoczawszy płomiennymi swemi oczami na jegomości...

Jadwisia spostrzegłszy jakieś pomieszanie ojca, ujęła Helenę pod rękę mówiąc:

— Przedewszystkiem muszę ci Helusiu sprezentować rysunek mój, który ojczulkowi na imieniny wypracowałam — i podprowadziła ją do obrazu,



Jegomość pozostał na miejscu jak wryty, a śledząc każdy ruch, każdy krok Heleny, mówił do siebie:

— Ta sama, panie, ta sama — przysięgłbym że to ona. Jadwisia mówi, że ona żydówką, a ja widziałem ją przecież wychodzącą z naszego kościoła. Pamiętam ją dobrze; przechodząc wtedy koło mnie, śliczne swoje oczęta utkwiała we mnie, jak gdyby poznając kogoś znajomego. Tak, to ona sama, te same śliczne, długie, bujne warkocze, ta sama utoczona kibić. O, długo jej zapomnieć nie mogłem. Teraz, mam ją tu przed sobą, u siebie. Czy to może jakie przeznaczenie?...

Jegomość rozmawiając w ten sposób ze sobą, wzroku z Heleny nie spuszczał i przysuwał się do dziewcząt, które obrazy oglądały po kolei i właśnie przystały przed portretami.

— To portret mojej mamy — powiedziała wskazując Jadwisia.

— Gdybyś była troszkę starszą, powiedziałabym, że to twój własny.

— A to mojego ojczulka, kiedy był jeszcze młodszym. Jak ci się podoba? zupełnie podobny do braciszka.

— Usta tego nie mówią, co należy do serca, Jadwiniu — odpowiedziała zarumieniona Helena, a spostrzegłszy się, że na tem miejscu powiedziała za dużo, powiodła wzrokiem do koła i — spotkała się ze wzruszonym wzrokiem jegomości.

Jegomość dosłyszał słów wyrzeczonych przez Helenę, które całą jego istotą wstrząsły, i zrozumiał je tak, że Helena odpowiadając Jadwisi, właściwie do niego mówiła, a odwracając się, że wzrokiem czyniła go na to uważnym. Jegomość w ten sposób utwierdziwszy się o sympatji Heleny dla siebie, uwielbiał ją w duszy i tłumaczył przed sobą, że chociażby była żydówką — ale żydówką, która uczęszcza do kościoła, mówi poprawnie polskim językiem ojczystym; jest ładną i wykształconą...

— Że mnie kocha — mówił dalej do siebie jegomość, nie podlega wątpliwości, okazywała to przy każdym spotkaniu się ze mną, tylko ja, ja tego nie rozumiałem. Nie mogąc się doczekać mojej odwagi,

sama złotko szuka sposobności zbliżenia się do mnie. O, aniele mój, ukróć twę cierpienia, dzisiaj jeszcze zakończę sprawę. —

I byłby jegomość może w tej chwili rzucił się na kolana przed Heleną, gdyby go nie powstrzymała od tego obecność Jadwigi, taką miłością rozamiętniał do Heleny i wmówił w siebie jej wzajemność.

Jadwisia podprowadziła Helenę do fortepianu prosząc ją by grała. Helena wymawiała się od tego, a gdy i jegomość do prośby się przyczynił, stanęło na tem, że pierwsze zagrają obie na cztery ręce.

Usiadły więc i wprawne rękami przebiegając po klawiszach, zmuszały piękny instrument do wydawania tonów i akordów wskazanych przez autora kompozycji, które siedzącego obok i wpatrującego się w Helenę jegomościę w zachwyt i uwielbienie dla niej wprawiły. To też gdy grę skończyły, unosił się i nie szczędził pochwał Helenie wymuszając na niej zagranie ulubionej przezeń pieśni hiszpańskiej „Mandolinato“.

Usiadł na kanapie i przy melodyjnych tonach przesuwając w myśli obrazy szczęścia swojego z Heleną, marzył o pełnej słodyczy przyszłości, od której go zaledwie jeden śmiały krok dzieli.

Powziął widać jakiś zamiar, na co wskazywało zachowanie się jego, zwykle w takich razach; powstał bowiem z kanapy; opuściwszy głowę a podkrecając wąsy, przechodził się po pokoju, przystając niekiedy i pożerając oczami uroczą Helenę.

Gdy skończyła, zbliżył się do niej, drobną jej rączkę uścisnął, dorzucając kilka wyrazów pochlebnych, które były powodem, iż Helena pokraśniała i tłumaczyła się w zakłopotaniu:

— Nie zasłużyłam sobie na tyle łaskawych względów.

— Jeżeli grą Helusi jesteś ojczulku zachwycony, to cóż powiesz dopiero, gdy głos jej usłyszysz? — wtrąciła Jadwisia pieszcząc się z Heleną.

— A czego nam panna Helena, panie tego... z łaski swojej może nie odmówi — dodał jegomość, siląc się na zgrabny ukłon.

— Nie odmówi! nie odmówi — zapewniała Jadwisia, i w dodatku zaśpiewa nam „Modlitwę więźnia,” mało komu znaną, napisaną przez niezapomnianej pamięci (męczennika polskiego), Juliusza Goslara.

Przyparta prośbami Jadwisi i jegomości, Helena usiadła przy fortepianie, i po kilku harmonijnych akordach rozległ się w salonie jej dźwięczny i melodyjny głos, a przejmując się słowami autora, promieniała zachwytem i zapałem. Śpiewała:

Czyś opuścił nas już, Boże? —
Z polskich też się rzeki łąły;
Ze krwi polskiej stanie morze;
Z męki polskiej czyściec cały.
My całujem miecz Twój krwawy,
Chcemy cierpieć drugie tyle,
Tylko Boże, bądź łaskawy,
Na Twój naród spojrzysz mile!

Wszak ten naród życie dawał
Dla imienia Twego, Panie!
I w obronie ludów stawał,
I czczył Twoje przykazanie.
Ale także je przekraczał —
Za to już wiek pokutuje!
Ze z Twojej świętej drogi zbaczal,
Szczerze i mocno żałuje.

Jak okropne nasze bliźny!
Tyś nas Boże! na świat stworzył,
Tyś nam miłość dał Ojczyzny,
A Ojczyznęś upokorzył!

Ojcze! patrz na twe ofiary,
Na tę ziemię z Polakami —
My nie tracim jeszcze wiary,
Patrz! — i zmiłuj się nad nami! —

Wszak my nie pragniemy cudu,
Tylko byś się dał przebłagać,
Nie dał mamy twego ludu,
I dał nam się w dobrem wzmagać!
Byś pozwolił nam walecznie
Ginać za ojczyznę świętą;
Wolnej Polsce potem wiecznie
Wielbić dobroć niepojętą! —

Jegomość zachwycony porywającym głosem Heleny i odurzony olśniewającą pięknnością brunety — zdawało się nie wiedział o sobie; drżał na całym ciele, a gorączka wewnętrzna wypiekała na twarzy rumieńce. Mniemana pewność wzajemności Heleny poila go urojonem szczęściem, mięszała myśli i popychała do kroku, od którego jako człowiek z usposobienia namiętny i porywczy, cofnąć się nie umiał; to przechodziło jego siły.

Helena skończyła śpiewać i w zamyśleniu, uderzając w akordy, westchnęła; myślała o Tadeuszu, a wiedząc, że jest u siebie, spojrzała mimowolnie na salon, czy go tu nie zobaczy; ale jej oczy spotkały się znowu z pozerającym ją wzrokiem jegomości, który gdyby zelektryzowany, zerwał się z miejsca i przybiegając do dziewcząt zawołał:

— Zachwycony jestem! zachwycony! A pozwinszować! panie tego. Panno Heleno, i skałę poruszysz swoim pięknym, swoim anielskim głosem. . . . Ależ Jadwisiu — mówił roztargniony, zwracając się do córki, zapominamy się, idź dziecię do cioci, przecież może konfitur, ciast, wina, kawy; każ poznosić co znajdziesz, przyjmijże przyjaciółkę naszą serdeczną, jak na to zasługuje.

Jadwisia, tłumacząc się zapomnieniem, pomimo prośby i wymawiania się Heleny, pobiegła zarządzić przyjęcie, a przedewszystkiem do Tadeusza, aby się z nim podzielić radośną wiadomością o uprzedzającym usposobieniu ojca dla Heleny.

VII.

— Idź Tadziu do salonu — mówiła uradowana Jadwisia, a przekonasz się naocznie. Ojczulko zmienił się do niepoznania, pomimo iż wie o wyznaniu Heleny, jest nią zachwycony.

— Czy mówiłaś Jadwisiu ojcu o moim stosunku do Heleny? — zapytał Tadeusz.

— To już teraz twoja sprawa — odpowiedziała Jadwisia, twierdza już rozbrojona i nieprzyjaciel musi kapitulować. Ja teraz biegnę po konfitury i ciasta.

— Dziękuję ci, waleczny żołnierzu! — mówiąc Tadeusz ucałował siostrę, sam udając się wolnym krokiem i w zamyśleniu do salonu.

VIII.

Zaledwie Jadwisia wybiegła, jegomość oszalała namiętnością, zbliżył się do Heleny i ujął za rękę. Dziewczę zmieszało się, nie rozumiejąc tego postępowania.

— Nie obawiaj się mnie, panno Heleno — o-zwał się jegomość z uczuciem pełnem szczerości, ja odgadłem serce twoje... Ty kochasz... Czy prawdę mówię? ...

— Tak — opuszczając główkę odrzekła Helena, ośmielona otwartością ojca, w przekonaniu, że mówi o stosunku jej z synem.

— A więc nie myliłem się! — zawołał uszczęśliwiony. O Heleno! nie zawiedziesz się w oczekiwaniu, i będziesz szczęśliwą! Dziś zakończę twoje cierpienia!

— O! ileż wdzięczności winną ci będę, szlachetny panie — odpowiedziała z uczuciem Helena.

— Nie mów o wdzięczności, Heleno! — mówił zapamiętałe jegomość, okładając pocałunkami rękę Heleny. Miłość twoja staje mi za wszystko! Ty będziesz moją królową! Wszystko, wszystko ci oddam!

— Co pan czynisz, Boże! — zawołała przerażona Helena, i oglądając się po salonie, jak gdyby szukając wybawcy, spostrzegła Tadeusza, stojącego we drzwiach a przypatrującego się w niemej rozpaczy odbywającej się scenie.

— O! nie wypieraj się miłości, do której przed chwilą przyznałaś się! — błagał jegomość, padając na kolana przed Heleną, — oddaj mi rękę twoją a uszczęśliwisz mnie!

Przeżalone dziewczę dreszcz oburzenia przeniknął, — już, już miała odepchnąć od siebie natręta, gdy w tem myśl jakaś błyskawicą przebiegła jej mózg; uspokoila się i przybrała stateczną powagę.

— Jeżeli więc jestem zmuszoną prawdę wyppo-

wiedzieć — mówiła z naciskiem, patrząc na Tadeusza, to daję moją rękę i zapewniam, iż serce moje należy już do Tadeusza Naglickiego. . . .

Po słowach tych Tadeusz odwracając się, rzucił na Helenę wzrok pogardliwy i usunął się, przez ojca niepostrzeżony. Jegomość powstawszy, ujętą rękę Heleny, którą naprózno usiłowała uwolnić, pieścił w swoich dłoniach, powtarzając :

— Będiesz szczęśliwą! Będiesz moją królową! Uprzedź, proszę, rodziców o naszym szczęściu, gdyż dzisiaj jeszcze załatwić muszę tę sprawę. —

Jadwisia wszedłszy do salonu, prowadząc za sobą Zosię, obciążoną kredensem, przeszkodziła ojcu w jego miłośnych usiłowaniach. Spozobregła jakieś pomieszanie na twarzy Helenki; ale widząc ojczulka w nadzwyczaj wesołym humorze, nie domyślała się nawet sceny, którą on przed chwilą odegrał.

— Czy Tazio nie był tu jeszcze? — zapytała wesoło Helenki.

— Teraz nie był tu wcale — odpowiedział jegomość, był u mnie, lecz jeszcze przed twojem przybyciem; i muszę go zdradzić przed wami, oto, Tazio zamysła się żenić. . . .

— A z kim ojczulku?

— Tego mi jeszcze nie wyjawil, ponieważ, panie tego, jakoś nie mogliśmy się porozumieć; byłem cierpiący, czy nie w humorze; teraz jednak rozważywszy rzeczy, nie mam nic przeciw jego wyborowi, nic —, i niech się tam cały świat śmieje! abyśmy tylko byli szczęśliwi, a gdy postąpimy sobie uczciwie, toż niedługo i śmiech jego trwać będzie. —

— Więc zgadzasz się, ojczulku z zamiarem Tadeusza? — zapytała przymilając się ojcu Jadwisia.

— W zupełności panie, w zupełności, możesz mu to nawet zaraz zakomunikować — mówił jegomość, spodziewając się jeszcze chwilę swobodnie z Heleną przepędzić.

— Jadwiniu droga — wpadła w słowo z niepokojem Helena, za długo tu już bawię; mama będzie o mnie niespokojną, muszę spieszyć do domu.

— Nie będę cię zatrzymywała, ale i nie puszcze prędzej, dopóki nie pokosztujesz przynajmniej moich

gnieciuszków — mówiła ucieszona Jadwisia, pociągając do zastawionego stołu Helenę; jegomość ze swej strony również nie szczędził zachęty.

Chcąc jak najspieszniej uwolnić się z przytłaczającego towarzystwa jegomości, Helena uległa naleganiom, i po krótkim raczeniu, pożegnała skromnym ukłonem pana domu, a zarazem natrętnego amanta, udając się z Jadwisią do jej pokoju. —

Ciężko przyszło jegomości, rozłączyć się z swoim ideałem. Obecność Jadwisi powstrzymywała go jednak od okazania Helenie swego gorącego uczucia, i musiał poprzestać tylko na westchnieniu i przydługim uściśnieniu jej ręki.

IX.

— O, jakże szczęśliwą jestem, że cała sprawa nasza z ojczulkiem tak pomyślnie załatwioną została — mówiła Jadwisia ściskając i całując Helenę, która oparłszy rękę o stół stała rozrzewniona i smutna.

— Cóż to, ty się nie cieszysz z tego, Helusiu? pytała zdziwiona.

— Ach, ty nic nie wiesz Jadwisiu, co przeżyłam z ojcem twoim — z żalem mówiła Helena. Pozwól, niech pozbieram myśli, a opowiem ci co zaszło; potem osądzisz sama, czy mogę się cieszyć. . . .

Usiadły, zbliżyły krzeselka, i Helena opowiedziała Jadwisi o oświadczeniu się ojca o jej rękę, o zachowaniu się Tadeusza i wskutek tego pochodzących jej cierpieniach.

— On mnie może posądzi, że m wiarołomna! — wyszeptwała z boleścią Helena, i łzy obfite spłynęły po jej rozpalonych licach.

— Uspokój się Helusiu, on cię zrozumie, gdy się dowie o wszystkim — pocieszała Jadwisia, tuląc jej główkę do piersi. Przywołam natychmiast Tadzia, to tylko nieporozumienie, rzecz się wyjaśni — i mówiąc to, wybiegła z pokoju.

Helena oparłszy głowę o dłoń, zamyśliła się głęboko, zmysły jej pracowały widać z podwójną chyżością, bo czoło jej kurczyło się co chwila i wypo-

gadzało, aż wreszcie lekki uśmiech zaigrał na jej zbolątej twarzy. Dzieje się to bowiem nieraz, że zboląłe serce, którego jeszcze zwątpienie nie ogarnęło, w najcięższej chwili wierząc w zwycięstwo uczciwej swojej sprawy, zdrżny spodziewanym tryumfem. To nadzieja. . . .

Jadwisia powróciła smutna i załamawszy ręce zawołała:—

— Cóż teraz począć?! Tadzio, jak mówił mi służący, wyszedł przed chwilą roztargniony i w najgorszym humorze.

— Jadwisiu kochana, jeżeli wódz wątpi, złożyć powinien komendę — rzekła Helena z cierpkim uśmiechem, ściskając ręce Jadwisi; — pozwolisz, że przedłożę ci plan przyszłego działania, który się w myśli mej zrodził, a jeżeli uznasz go za dobry, to należy się pomyśleć, komu powierzyć mamy dowództwo.

Przytuliły się do siebie, i Helena zwierzyła swoje zamiary Jadwisi, lecz tak w sekrecie, że dosłyszeć ich nikt trzeci nie mógł. Musiały się podobać Jadwisi, bo gdy Helena skończyła opowiadanie, wykrzyknęła radośnie:

— Wybornie, Helusiu! Zuchwałość ukarana i zwycięstwo zapewnione! — a po chwilce namysłu dodała:

— Jednakże do spisku nowego jest nam koniecznie potrzebny p. Nowatorski, bo to pierwszy sekretarz ojczulka. Ale to już rzecz moja.

Dziewczęta uściskały się i Helena z nadzieją pospieszyła do domu.

X.

Pan Aron Blumenzweig siedział w fotelu, głowę opuścił na piersi, zwiesiste brwi, zesunięte, przysłaniały mu oczy w głębokich dołach, które jakby nieprzytomne wlepiły się w podłogę, a głębokie westchnienia wyrывały się od czasu do czasu z jego piersi. Ciężki smutek przytłaczał mu serce.

— Jutro już termin — jęknął rozpaczliwie, kredytu mi odmawiają, — podli ludzie — czyhają na moją zgubę. . . .

Przysunął się z fotelem do biurka, wyjął księgę debitorów i zatopił się w rachunkach, szukając w nich ostatecznego wyjścia. . . .

Rebeka siedziała na sofce łamiąc ręce i śledząc ruchy rozpaczliwie męża; podzielała widocznie smutek jego, co potwierdzały świecące w jej oczach łzy i wydobywające się z jej piersi ciche, lecz ciężkie westchnienia. Głucha cisza zalegała mieszkanie.

W tej chwili nadbiegła Helena; widząc ojca zajętego księgami, nie przeszkadzała mu, — zbliżyła się do matki, i przywitawszy ją, pociągnęła ze sobą do drugiego pokoju.

Helena nie tała przed matką stosunku z Tadeuszem, zwierzyła się ona już dawniej przed nią, że go kocha całą duszą i że Tadeusz oświadczył się jej ze wzajemnością. Matka pragnąc szczęścia swego jedyne go i ukochanego dziecięcia, godziła się na wszystko, ponieważ odczuwała, że wszelkie przedstawienia nic tu nie pomogą. Sprawę tę trzymały jednakże przed panem Aronem w sekrecie, oczekując, aż wszelkie przeszkody ze strony Tadeusza zostaną usunięte.

Teraz znowu Helena opowiedziała matce całe zajście z jegomością. Rozmawiały długo ze sobą, a w końcu matka uściskała swoją jedynaczkę, mówiąc z goryczą:

— Biedne moje dziecię, ja pojmuję że miłość wasza naturalna i uczciwa, ale rozważ Helenciu, jak straszne zapory, złożone z uprzedzeń i przesądów, stoją jej na drodze. . . . Jeżeli jednakże połączenie wasze jest w przeznaczeniu, to niech się dzieje wola Boża, i tylko, gdy pomyszę jaką walkę staczać będzie trzeba z ojcem twoim, dreszcz mnie przejmuję.

— Chciałżeby ojciec zagradzać mi drogę do szczęścia?

Przekonaną jestem, że cię kocha, moje dziecię, ale być może, iż względ na interesa przeważy jego przekonanie. Jeżeli jednak, jak mówisz, odwrotu już niema, pójdźmy, może nam się uda nawiązać bodaj rozmowę w tym kierunku.

I matka i córka wszedłszy do biura pana Arona, zajęły miejsca na sofce obok siebie.

— I cóż, drogi Aronie — przerwała milczenie Rebeka, czy znalazłeś jakie wyjście?

— Rozpacz! — jęknął znowu Aron, opuszczając rękę na stół — bankructwo!..

Słowa te wywarły na kobietach przygnębiające wrażenie. Okropna przyszłość stanęła przed oczy; w umysłach ich zastąpiła walkę o szczęście — walka o byt.. Milczały osłupiałe, oczekując z ust Arona, gdyby strasznego wyroku, orzeczenia o przyszłości..

Trzykrotne stuknięcie do drzwi przerwało ciszę. Spojrzeli po sobie; Helenę dreszcz przebiegł, pobladła... Stuknięcie powtórzyło się.

— Proszę — odpowiedział na nie Aron.

Drzwi rozwarły się gwałtownie, jegomość, a za nim p. Nowatorski, notariusz, weszli do biura, kłaniając się uprzejmie.

— Wszakże jutro dopiero termin! — krzyknął rozdrażniony Aron, zobaczywszy znanego sobie notariusza, sądząc iż przychodzi z jakąś egzekucją.

— Nic o tem nie wiem — odpowiedział łagodnie, skłoniwszy się p. Nowatorski, przybyłem tu tylko jako pośrednik pana Naglickiego, którego mam przyjemność przedstawić panu.

Odetchnął pan Aron, a rozsunawszy krzesła zaprosił przybyłych do zajęcia miejsca, pytając zarazem, czemby mógł służyć...

— Zapewne jesteś pan uprzedzony już o sprawie, z którą do pana przychodzę — mówił p. Naglicki z pewnością siebie, gdyż jak to pan sam wypowiedział, jutro stanowczo zamiar mój pragnę doprowadzić do skutku.

Pan Aron przechylił się na krzesło, prawy łokieć spał na kolanie, a ręką zakrył oczy, by ukryć niepokój, w jaki wprawiły go słowa p. Naglickiego; nazwisko jego znane mu było jako jednego z majątniejszych obywateli, a zarazem jako jednego z najzacieśszych nieprzyjaciół żydów. Myśli mu się płątały, a nie mogąc sobie zdać sprawy z wizyty jego, przypuszczał jednakże, iż w dobrym zamiarze nie przycho-

dzi; postanowił więc być oględnym, i zapytał drżącym głosem, podnosząc głowę:

— W jaki sposób chcesz pan dobrodzieju zamiar swój doprowadzić do skutku?..

— Obecny tu p. Naglicki — odpowiedział p. Nowatorski, zaprosił mię, abym w toczącej się właśnie sprawie, był mu pomocnym; w krótkich więc słowach spełniając mój obowiązek, wyłożę państwu rzecz całą, przede wszystkim jednakże oświadczam, iż sprawa ta przysporzyć panu może, panie Aronie, 10.000 guldenów.

Aron wyprostował się na krześle, ręce założył z niecierpliwością za pas, a oczy jego z chciwości i niepewności mieniły się.

— Mów pan, mów pan, panie notariuszu — wybelkotał Aron, trzęsąc się na całym ciele.

— Pan Naglicki — mówił p. Nowatorski dalej, wskazując na poczerwieniałego jegomościę — znając od dłuższego czasu tylko z widzenia córkę pańską, pannę Helenę, zajął się nią, t. j. wyraźnie mówiąc, pokochał ją; dziś, korzystając z nadarzonej sposobności, oświadczył się o jej rękę, którą to propozycję córka pańska, panna Helena, przyjęła...

Pan Aron zerwał się z siedzenia, krew uderzyła mu do głowy, a oparłszy zaciśniętą rękę na stole, przesywając wzrokiem, rzucającym pioruny — żonę i córkę, zaryczał pieniąc się od złości:

— I ja — ja o tem nic nie wiem?!..

— Mówiła mi Helena o całej tej sprawie, powróciwszy do domu — odpowiedziała z determinacją matka, lecz że byłeś zajęty księgami, nie chciałyśmy ci przeszkadzać; gdy tymczasem nadeszli właśnie panowie...

— Pan Naglicki jednakże — ciągnął dalej pan Nowatorski, tytułem odszkodowania za wychowanie i edukację córki, chce złożyć panu natychmiast po podpisaniu przez pana umowy — sumę 10.000 złr. w w. austr.

Wypowiedziana przez p. Nowatorskiego kwota rozbroiła Arona, usiadł napowrót, a oparłszy rękę na stole, położył na niej głowę i zamyślił się, rozbierając swoje położenie.

Pan Nowatorski skorzystał z tego momentu i przysunawszy się do kobiet, rozmawiał z niemi cicho, aby Aronowi nie przeszkadzać, przyczem znalazł sposobność uwiadomić Helenę, iż odbył już z Jadwią walną naradę, skutkiem której objął kierunek sprawy, a wiedząc o krytycznem położeniu pana Arona, wierzył w pomyślny skutek.

Jegomość tymczasem wpatrywał się w zamyśloną twarz Arona, która zmieniała się pod wrażeniem myśli co chwila, oczekując od niego wyroku swej przyszłości.

Pan Aron wreszcie westchnął głęboko, a potoczywszy badawczym wzrokiem do koła, odezwał się w te słowa:

— Pozwolicie panowie, że nim dam odpowiedź, zapytam o zdanie w tej mierze żony i głównie interesowanej córki mojej.

— Ojczy mój drogi — rzekła powstając Helena, z mojej strony godzę się z losem, jaki mi Bóg przeznaczył, i oświadczyłam już, iż za zezwoleniem twojem i mamy, panu Tadeuszowi Naglickiemu oddam rękę moją.

— Ja zaś, kochając dziecię moje, pragnę tylko jej szczęścia i twego Aronie — powiedziała Rebeka, kładąc na ostatnie wyrazy nacisk, i dla tego zgadzam się na wybór Heleny.

— Panie Aronie! — zrywając się z miejsca i położywszy rękę na sercu, zawołał jegomość w uniesieniu, zaręczam ci słowem obywatelskiem, że córka twoja będzie szczęśliwą! Otoczę ją wszystkim, co tylko świat jej dać może! —

— Wielkich cierpień doświadczam od losu, który całym ciężarem mnie przygniata — mówił p. Aron z rezygnacją. Jeżeli córka moja widzi w tym związku swoje powodzenie, zmuszony jestem zostawić jej to do woli, — lecz jako ojciec muszę postawić warunki, od przyjęcia których zależeć będzie moje zezwolenie: 1) córka moja nie zmieni swojego wyznania — 2) kwotę, którą pan decydujesz mi się wypłacić, stawiam na 15.000 złr. w. a.

— Co do kwoty, mniejsza o to — odrzekł po krótkim namyśle zaambarasowany jegomość, — ależ

ja chcę pojąć pannę Helenę za żonę, a jakżeż to się stać może bez zmiany wyznania?

— Ależ zgoda i na to, dobrodzieju! — zauważył p. Nowatorski, zrobi się ślub cywilny, krótsza nawet droga.

— Prawda! panie tego — wykrzyknął uradowany jegomość, podając Aronowi rękę. Zgoda na wszystko!

— A pieniądze zaraz po podpisaniu umowy, jutro przedpołudniem mają mi być doręczone — przypomniał p. Aron.

— Będą natychmiast, panie, natychmiast! — zapewniał jegomość.

— Z mojej zaś strony — rzekł p. Nowatorski, przygotuję wszystko, co do zawarcia aktu tego jest potrzebnem, tak, abyście państwo już o godzinie 11-ej jutro w mojem biurze i w obecności burmistrza, mogli układ podpisać.

— A więc, panie Aronie, sprawa ostatecznie załatwiona — oświadczył jegomość podając rękę do uścisku Aronowi.

— Ja — odpowiedział Aron, przybijając rękę na zgodę, słowa dotrzymam.

Pożegnawszy w sposób serdeczny kobiety, opuścił rozpromieniony szczęściem jegomość mieszkanie pana Arona, a wraz z nim i p. Nowatorski.

— Oszałał stary goim — rzekł przechadzając się po pokoju p. Aron, gdy drzwi się za nimi zamknęły. Z pieniędzmi przychodzi mi w porę; ale każdą umowę zerwać jeszcze można — i tu pan Aron zaśmiał się spazmatycznie.

— Co się stanie — odpowiedziała Rebeka, zostawmy to losowi, i zabierając Helenę z sobą, pozostawiła p. Arona z jego książkami kupieckimi, z których potrzebne dane wyciągał.

XI.

Jegomość przyszedłszy do domu, zadowolniony powodzeniem, nie chciał uczynić kroku tak ważnego, jakim jest ożenienie bez uprzedzenia o tem swojej

rodziny. Zwołał więc do salonu radę familijną, nie pomijając i panny Filomeny.

Rada ta jednak, — z góry uprzedzić musimy — zakończyła się zbyt prędko, oburzeniem Tadeusza i słabością panny Filomeny. Gdy bowiem Tadeusz, Jadwisia i panna Filomena zajęli miejsca, p. Naglicki wystąpił naprzeciw siedzących i w te ozwał się słowa:

— Stało się — panie tego, i uprzedzić was muszę, że na nicby się tu przedstawienia i perswazje nie zdały, — jestem już, panie, związany słowem; przedwstępną ugodę zawarłem, cofnąć się zatem nie mogę i nie chcę przed szczęściem, które samo mię wyszukało. Zaprosiłem was tu tylko, aby was przygotować na krok, który uczynić jutro zamysłem, krótko mówiąc, żenię się z Heleną Blumenzweig, twoją przyjaciółką Jadwisiu, a przyznacie mi, że lepszego wyboru zrobić nie mogłem.

— Z Heleną! mówisz ojczy, — zawołał zrywając się Tadeusz, to być nie może! Do tego dopuścić nie mogę!

— Ależ nie sprzeciwiaj się Tadeuszu — odparł jegomość, dobrodusznie się uśmiechając — a ja nawzajem w połączeniu się twojem przeszkadzać ci nie będę.

— To ironja, ojczy! — jęknął boleśnie Tadeusz i wybiegł z salonu.

Panna Filomena siedziała przez chwilę oniemiała, a potem wybuchła płaczem i śmiechem naprzemian, dostała spazmów i musiano ją odnieść do łóżka.

Jadwisia jedna trzymała się odważnie.

— A jakżeż, ojczulku, ślub się odbędzie — zagadnęła figlarnie, przecież Helusia jest izraelitką.

— Na wszystko jest rada, moje dziecię — tłumaczył jegomość, biore ślub cywilny, jutro robimy umowę w obec burmistrza, a za kilka tygodni złożymy tam wzajemną przysięgę.

— A pozwolisz nam ojczulku, być jutro obecnymi przy zawarciu tego aktu? — zapytała proszącym głosem.

— I owszem, tylko przygotuj Tadzia, aby mi jakiego figla w obec burmistrza nie wyplatał, zape-

wnij go, iż przeciwko jego związkowi nic a nic nie mam.

— Teraz żegnam cię ojczulku, muszę spieszyć do cioci.

— Idź idź, moje dziecię — rzekł jegomość, ucałowawszy swoją pieśczołkę, dogładnij jej, twoja troskliwość ją pocieszy.

Jegomość pozostał sam i zajął się wyszukaniem potrzebnych aktów.

XII.

Jadwisia przybiegła do chorej cioci Filomeny, którą spazmy na chwilę opuściły, zadała jej kilka bobrowych kropli na cukrze, pierś obłożyła zimnym okładem; pocieszyła, iż to może Pan Bóg wszystko jeszcze obróci na dobre i przyrzekłszy wkrótce powrócić, pospieszyła do Tadeusza, z którym, po rozstaniu się z Heleną, jeszcze nie miała sposobności pomówić.

Wchodząc do mieszkania Tadeusza, zastała drzwi odchyłone, zdziwiło i zatrwożyło ją to na chwilę, ujrawszy jednak w drugim pokoju siedzącego Tadeusza przy biurku, ochłonęła z przestachu i domyśliła się że Tadeusz wchodząc, z furją zatrzaskać musiał drzwi za sobą, które tylko odbiły się o futrynę. Zdjęta ciekawością zapała oddech w piersi i na palcach podsunęła się do brata.

Patrząc mu przez ramię, czytała list, który Tadeusz pisał przy świetle lampy.

Pierwszem słowem napisanem było: „Najdroższa!“ — lecz to słowo było przekreślone całym piórem. Dalej następowało:

„Pani!

„Postępujesz niegodziwie! Przypuszczać muszę, że zapewne przyrzeczone przez ojca mego dostatki i majątek, skłoniły cię do wiarołomstwa..“

Jadwisia, przeczytawszy te wyrazy, pochwyciła gwałtownie i niespodzianie list, a pomiawszy go podarła w kawałki.

— Cóż to znaczy! — zrywając się z fotelu, krzyknął zaperzony Tadeusz.

— Nie pozwalam obrażać Helusi! — odparła z powagą Jadwisia.

— Zastępuje na to! — mówił w gniewie Tadeusz.

— Helena jest niewinną i pozostaje ci wierną. Tadeuszu — odpowiedziała Jadwisia, uspokój się braciszku.

— Możesz mi to Jadwisiu poręczyć? — zapytał wolniejszym a drżącym głosem Tadeusz.

— Wierzaj mi Tadziu, że z uczuć twoich najdroższych nie robiłabym sobie igraszki — wypowiedziała Jadwisia tak przekonywająco, wpatrując się Tadeuszowi w oczy, iż rozbroiła go zupełnie.

— Więc to tylko komedja rozgrywa się jakaś?

— Która zbliża się do rozwiązania — mówiła Jadwisia, na usta położywszy dwa paluszki. Właściwie mówiąc, jest to pozycja, na którą oddział nasz wojowniczy sam ojczulko wysunął; a że teraz dowództwo przeszło w ręce p. Nowatorskiego, któremu ja adjutantuję, przeto spodziewamy się odnieść zwycięstwo zupełne.

— O drogi adjutancie, niechże ci za tę dobrą wiadomość przynajmniej podziękuję — zawołał w radośnem uniesieniu Tadeusz i ucałował ukochaną swą siostrę.

— Z rozkazu dowódcy masz się, braciszku, stawić u niego jutro o godzinie 9-tej rano, gdzie otrzymasz potrzebne informacje — mówiła Jadwisia, salutując do jasnych splotów braciszkwowi.

— Będę posłuszny rozkazowi — odpowiedział, a na mojem mężtwie i poświęceniu możecie polegać zupełnie.

— A teraz o rzeczy prywatnej, panie lekarzu! masz w domu pacjenta, któremu na razie sama zaordynowałam pomoc. Ciocia po twojem zrejterowaniu ze salonu dostała spazmów.

— Więc spieszmy, trzeba stan słabości zbadać. Z pospiechem wyjął mały flakonik z biurka i udał się z Jadwisią do mieszkania cioci Filomeny.

XIII.

Nazajutrz już o godzinie 8-mej rano zamówiony golarz zjawił się w sypialni jegomości, który usiadłszy przed lustrem, dał znak do rozpoczęcia operacji ze szpakowatym zarostem na twarzy; po kilkakroć przeglądał się w lustrze i posuwał palcami po twarzy, a gdy namacał miejsca jeszcze szorstkie, pan golarz wprawną ręką musiał je wygładzać. Po umyciu usiadł znowu przed lustrem, rozkazał starannie ułożyć włosy i nie żałując wiksatoru, pokryć nim siwiejące już włosy. Dużo roboty miał pan golarz z jegomością, ale widać robota się opłacała, bo odchodząc, kłaniał się aż do wyjścia.

Ubieranie się zajęło jegomości aż dwie godziny czasu, a to z tego powodu, iż po kilka razy przebierał się w różne garnitury, próbując, w którym mu najlepiej do twarzy.

Godzina szczęścia zbliżała się — godzina II, na którą zobowiązał się p. Nowatorski przygotować wszystko do aktu tego potrzebne i uprzedzić o tem pana burmistrza.

W biurze prezydjalnem pierwszy stawił się pan Nowatorski; za kilka chwil nadszedł jegomość z Jądwisią, ciocia Filomena bowiem słaba, zmuszoną była pozostać w łóżku; Tadeusz zaś, otrzymawszy informację od dowódcy, wbiegł tylko na chwilę do domu, a tłumacząc się wizytami u pacjentów, oświadczył, iż na oznaczoną godzinę przybędzie wprost do biura.

Z uderzeniem godziny przybyli państwo Blumenzweigi z córką, a tuż za nimi Tadeusz.

Uprzejmy woźny, stojący u drzwi prowadzących do mieszkania p. burmistrza, podawał przybywającym gościom krzeselka i zapraszał do zabrania miejsca oświadczać:

— Pan prezes zaraz nadejdzie.

Jegomość szeptał coś z panem Aronem, a chodziło widać o pieniądze, o czem przekonywał ruch

jegomości, który uchyliwszy czamary, ukazał panu Aronowi pulares, sterczący z kieszeni.

Tadeusz zbliżył się do Heleny, a ująwszy jej rękę, żywą z nią prowadził rozmowę.

— Czy znacie się państwo? — zapytał jegomość, zbliżywszy się do rozmawiających.

— Czy się znamy? pytasz ojczy — odpowiedział z boleśnym uśmiechem Tadeusz.

Drzwi od mieszkania burmistrza rozwarły się, rozmowy ucichły, do biura wszedł p. burmistrz; przechodząc skłonieniem głowy powitał obecnych i zajął miejsce za biurkiem.

Pisarz zajął miejsce przy drugim biurku.

Pan Nowatorski przybliżył się do pana burmistrza i wręczył mu dokumenta.

Jegomość pocerwieniał i niespokojnym wzrokiem śledził Tadeusza.

— Pan Tadeusz Naglicki i panna Helena Blumenzweig — rozległ się poważny głos pana burmistrza — mający zamiar zawrzeć małżeństwo, raczą się zbliżyć do mnie.

W tej chwili powstał Tadeusz i Helena, a ująwszy się pod rękę, postąpili naprzód.

Jegomość, widząc to, wpadł w szal i poskoczył za nimi, lecz przytomna Jadwisia pochwyciła go, blagając ze łzami półgłosem:

— Ojczulku! zlituj się, ja umrę! zastanów się, co chcesz czynić!...

— To zdrada! — syczał Jegomość.

— To narzeczona Tadeusza — odparła Jadwisia, a wszakże dałeś słowo ojczulku, że mu nie będziesz przeszkodą.

— Ona mnie rękę oddała — jęczał jegomość.

— Helena przecież oddała rękę Tadeuszowi Naglickiemu — tłumaczyła Jadwisia. Czyż ojczulko już zupełnie o mamie zapomniałeś — mówiła rzewnie, zwracając ojca do krzesel.

Jegomość usiadł, błędny wzrok zatopił w posadzkę, a złożony ręce, głowę opuścił na piersi, poruszając ją nieznacznie, co zwykle czynił, gdy miał wielką zgryzotę i nawał myśli, z którymi do ładu przyjść nie mógł.

Równocześnie, gdy Jadwisia staczała walkę z Jegomością, natarł na burzącego się pana Arona pan Nowatorski, w czem pomagała mu pani Rebeka, tłumacząc mu, że na zamianie osób interes jego nic nie ucierpi...

Pan burmistrz, widząc w gronie obecnych zamieszanie i patrząc na odgrywające się sceny, zapytał:

— Czy zaszyły jakie przeszkody?

— Upraszamy o chwilę tylko cierpliwości — odrzekł p. Nowatorski, skłoniwszy się — rzecz zostanie natychmiast uregulowana.

Tadeusz z Heleną przystąpił do ojca, a Helena odezwała się błagając:

— Przebacz mi panie, że w obec twego obejścia się ze mną, nie mogłam i ja dla miłości Tadeusza inaczej postąpić.

Jegomość podniósł głowę, a wpatrując się w Helenę, zalał się mimowoli łzami.

— Przyrzekałeś mi panie, iż uczynisz mię szczęśliwą — mówiła dalej Helena, a bez Tadeusza tego-bym nigdy nie dostała. Bądźże mi drugim ojcem — błagała.

Nie dokończyła jeszcze słów tych Helena, gdy jegomość powstał z powagą, a położywszy na pochylone głowy nowożeńców drżące ze wzruszenia ręce, wypowiedział:

— Bądźcie szczęśliwi, drogie dzieci...

Za tym przykładem poszła i pani Rebeka.

Po tem porozumieniu w jednej chwili został akt umowy ukończony, a następnie pulares wyładowany piętnastoma tysiączkami przespacerował się z kieszeni jegomości do kieszeni pana Arona, który tym sposobem ocalał przed bankructwem.

XIV.

Przy wvjściu zetknął się już wesół jegomość z panem Burczymuchą, który wszedłszy za jakimś interesem do biura prezydjalnego, był świadkiem całej przeprawy.

— Jakto jegomość? — zapytał dobrodusznie, to dla ładnej panienki wyrzekliście się swojej zasady?...

— Broń Boże, panie! tego nie popełniłem, jeżeli chciałem się z Helusią ożenić, to tylko dla zasady — odpowiedział niezbity z toru jegomość, bo uważ przyjacielu (mówił na ucho) jeżeli zabierzemy żydóweczki dla siebie, to zkad się potem żydzi wezmą?...

Uścisnęli sobie dłonie, a pan Burczymucha dodał:

— Pocziwy z ciebie Antisemita! —

* * *

P. S. W parę miesięcy później, zaproszony przybyłem na wieczorek familijny do jegomości i byłem świadkiem, z jaką serdecznością dawna panna Filomena, a teraz ciocia i macocha, przyjmowała państwa: Nowatorskich i młodych Naglickich, którzy po ślubie cywilnym na naleganie Heleny wzięli także ślub kościelny. —

Jegomość śmiał się teraz ze swoich oświadczeń, ale Helusia za każdym przybyciem musiała grać na fortepianie i śpiewać, a Jadwisia, teraz pani Nowatorska jej wtórowała; pani Naglicka starsza, krzątała się około herbatki, a my we czwórkę cięliśmy preferansa, rozbierając gorąco sprawę Arabiego... bo o naszą... polską... możemy być przecież spokojni, alboż jej to nie strzegą i nie bronią dzielnie rodacy, na szczytach stojący?...



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA

00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 77
Tel. 26-68-83

4820 / 11

